

PiS na mnie donosił

<https://edgp.gazetaprawna.pl/e-wydanie/57660,19-listopada-2020/71922,Dziennik-Gazeta-Prawna/741830,PiS-na-mnie-donosil.html>

Paulina Nowosielska 19.11.2020 r.

WYWIAD

Byli oficerowie CIA komentują, że ruch rządu PiS i wysyłanie dokumentów na mój temat do USA zakrawa na zdradę stanu – mówi DGP gen. Gromosław Czempiński



Gromosław Czempiński (Fot. Wojciech Olkuśnik / Agencja Gazeta)

Czy prawdą jest, że polski rząd dostarczył przedstawicielom władz USA materiały archiwalne z czasu PRL na temat oficerów wywiadu, w tym m.in. dotyczące pana czy gen. Henryka Jasika?

IPN jest z pewnością w posiadaniu licznych materiałów i mógł stosowny zestaw przygotować, ale nie spodziewam się, by wysłał go sam z siebie. Nie rozumiem, czemu Mariusz Błaszczak jest cały czas tak bardzo na „nie” wobec mnie. Dla mnie to smutna postać. Jako szef MSWiA miał okazję spojrzeć na wywiad inaczej. Był szefem tego resortu, gdy byłem głównym negocjatorem w sprawie uwolnienia polskich zakładników z rąk nigeryjskich piratów pod koniec 2015 r. Wówczas byłem potrzebny, teraz wysyła się dokumenty, które w zamyśle mają mnie skompromitować.

Dlaczego?

Myślę, że Amerykanie co jakiś czas się o nas upominają i o to, by wywiadowi przywrócić świadczenia emerytalne zabrane ustawą dezubekizacyjną. Może dlatego politycy chcą ich do nas zrazić, przedstawiając dowody na działalność przeciwko USA. Wiem, że za ocean poszły m.in. informacje o mojej działalności w kontrwywiadzie. Faktem jest, że przeprowadziłem kilka nieszablonowych operacji przeciwko CIA. Ale Amerykanie wiedzieli, gdzie pracowałem. Tą drogą poznali szczegóły operacji.

Dokumenty stawiają pana w złym świetle?

W 1990 r., gdy stanęło na tym, że jadę do Bagdadu, by spróbować wydostać stamtąd amerykańskich oficerów, ówczesny rezydent w Warszawie powiedział mi wprost: od początku chcieliśmy, żeby padło na ciebie. To à propos opinii, jaką o mnie mieli. Teraz byli oficerowie CIA komentują, że ruch rządu PiS zakrawa na zdradę stanu. IPN powtarza wprawdzie, że po tylu latach można odtajniać dokumenty. Jednak jest to dowód totalnego braku zrozumienia dla metodologii pracy wywiadu.

Osoby, które kwestionują pracę oficerów służb po 1990 r., mówią m.in., że weryfikacja była fikcją.

Z tysiąca oficerów wywiadu pierwsze sito przeszło 400. Drugie – 200. Czyli 40 proc. odpadło. Zostałem wydelegowany, by stanąć przed komisją

w imieniu wywiadu. W jej skład wchodził m.in. Wojciech Brochwicz, Sienkiewicz, Miodowicz. Około 12 osób. Maglowali mnie przez dwa dni o blisko 200 osób, które reprezentowałem. Uznano, że skoro chodzi o wywiad, oficerowie operacyjni nie powinni pokazywać twarzy. To był już czas, gdy z naszymi służbami kontakt nawiązały amerykańskie. W razie uwag, na pewno by oponowali. Z tego, co pamiętam, mieli zastrzeżenia do 12–15 osób, które uznali za zbyt dużych sympatyków Rosji.

Amerykanie mieli duży wpływ na kształtowanie nowych polskich służb?

Pamiętajmy, że te wydarzenia działy się długo po tym, co zaczęło się w Lizbonie w marcu 1990 r., kiedy Ryszarda Tomaszewskiego, rezydenta wywiadu w tamtejszej Ambasadzie RP, odwiedził John Edward Palevich, pracownik Centralnej Agencji Wywiadowczej (zwany też Big Johnem). To była pierwsza próba nawiązania relacji między służbami, która torowała drogę do relacji państwowych. Szczegóły tej historii już pani opisywała na łamach DGP, ja tylko przypomnę, że konsekwencją były kolejne spotkania z Amerykanami, którzy informacje o nas czerpali wówczas bogato od dezertersów KGB w stopniach pułkowników, generałów, m.in. od Olega Gordijewskiego, który miał wiedzę operacyjną o współpracy ze służbami bloku wschodniego. Amerykanie wiedzieli więc, że od lat 80. nasze relacje z radzieckimi służbami zostały mocno ograniczone. Zadbał o to Zdzisław Sarewicz jako szef wywiadu. Od tego momentu z przedstawicielami KGB mógł spotykać się tylko on lub wyznaczeni do tego oficerowie. Reszta dostała zakaz. Minister MSW Krzysztof Kozłowski i Andrzej Milczanowski rozmawiali z Amerykanami o przyszłości polskich służb. Amerykanie (ale też Anglicy, a później i Francuzi) zostali poproszeni o ocenę naszej szkoły wywiadu w Kiejkutach. Fakt, wcześniej mieli już częściowe dane, których dostarczył im m.in. por. Andrzej Kopczyński, absolwent pierwszego rocznika Ośrodka Kształcenia Kadr Wywiadu. Informacji dostarczał też ppłk. Jerzy Koryciński. Łącznie czterech oficerów wywiadu przeszło jeszcze przed tymi rozmowami na drugą stronę. Diagnoza Amerykanów była taka: kadrę trzeba zostawić, procesowi szkolenia będą dalej się przyglądać.

Mieli kadrę podaną na talerzu?

Ze wstydem stwierdziłem, że znali wszystkie moje legalizacyjne nazwiska, oraz mieli wiedzę o większości moich operacji zarówno z czasów pracy w Chicago, jak i Genewy z lat 1982–1987. Big John, który był obecny podczas tych rozmów, wymieniał tematy, które realizowałem na kierunku amerykańskim. Mówił, że byłem jego największą porażką, bo w Genewie właśnie chciał mnie zawerbować. Chwalił się, że na współpracę namówił blisko 30 agentów z Polski, którzy wiedzieli niemało o pracy naszych oficerów. Amerykanie zaproponowali szkolenia dla naszej nowej kadry kierowniczej w administracji. Łącznie przeszło je 300 osób, w tym grupa oficerów wywiadu. Ja jechałem w pierwszym rzucie (razem m.in. ze Sławomirem Petelickim) już jako wiceszef wywiadu ds. operacyjnych, bo chwilę wcześniej dostałem od Krzysztofa Kozłowskiego propozycję i ją przyjąłem. Przez kilka tygodni uczyliśmy się m.in. zarządzania kryzysowego w sytuacji strajków, powodzi, pandemii, porwania zakładników, negocjacji (po latach ta właśnie wiedza przydała mi się m.in. przy uwalnianiu polskich marynarzy). Po powrocie do kraju nasze kontakty z CIA były już regularne, weszliśmy w pewną rutynę do czasu, aż 2 sierpnia Irak najechał Kuwejt. Analizowaliśmy sytuację, bo dotyczyła bezpośrednio pracujących tam setek polskich inżynierów, budowlańców. W tej kwestii bardzo aktywny zaczął być pion pułkownika S., cenionego przez Amerykanów oficera. Zbierał informacje pod kątem tego, jak wywozić naszych z Iraku. Z rezydentury w Bagdadzie, dokładnie od Andrzeja Maronde pracującego tam oficjalnie jako chargé d'affaires, nadeszła informacja o żywych tarczach, czyli obcokrajowcach przetrzymywanych w strategicznych punktach miasta. Tą wiedzą szybko podzieliliśmy się z Amerykanami. Dostarczyliśmy im również w kolejnych dniach (tu znów uznanie dla Maronde) rzecz, która zaważyła o losach późniejszej wojny – mapę Bagdadu. Pomogliśmy też wydostać się stamtąd kilku obywatelom brytyjskim – wylatywali na polskich papierach. A któregoś dnia przyszedł do mnie amerykański rezydent, z którym miałem relacje jeszcze z pracy w kontrwywiadzie. Opowiedział o grupie oficerów USA, którzy utknęli w Iraku. Przedostali się z Kuwejtu, gdzie oficjalnie nie powinno ich być,

bo obserwowali ruchy wojsk Saddama Husajna. Poprosił o pomoc w ich wydostaniu, bo inni odmówili.

To był początek operacji, od której mija równo 30 lat – Samum. Ale to nie jest jej prawdziwy kryptonim?

Nie. I póki amerykańskie służby odmawiają ujawnienia go tamtejszym dziennikarzom, ja będę postępował podobnie. Za naszych polityków nie odpowiadam. W każdym razie wtedy długo naradzaliśmy się z pułkownikiem S., gen. Henrykiem Jasikiem, ministrem Milczanowskim. Powstał zespół z zadaniem przygotowania operacji. Było oczywiste, że z Amerykanami nie pójdzie nam tak łatwo, jak z Brytyjczykami, bo nie mieli zalegalizowanego pobytu. Poza tym wśród wyznawców reżimu Husajna budzili szczególną niechęć. Ludzie pułkownika S. próbowali dotrzeć do każdej osoby wracającej w tym czasie z Iraku. W ten sposób zdobywali wiedzę, że sytuacja zmieniała się tam z dnia na dzień. Wchodziły nowe przepisy powodujące, że coraz trudniej było się poruszać po kraju. Na tej podstawie powstawały plany operacji, które wędrowały do Waszyngtonu. I szybko padały, bo okazywały się nieaktualne. Stało się dla mnie jasne, że nie da się opracować działania z Warszawy. Powiedziałem to S. i Jasikowi wprost. Nie minęło wiele czasu, jak zaskoczył mnie telefon od tego drugiego. „Gromek, wracam od Milczanowskiego. Nie robimy, za duże ryzyko”, usłyszałem w słuchawce i zanim nią rzuciłem, powiedzieliśmy sobie dużo mocnych słów. Chwilę później odwiedzili mnie Amerykanie pytając, co z akcją. Traf chciał, że zostałem poproszony do gabinetu Milczanowskiego. Wchodzę. Usłyszałem, co sobie wyobrażam i kto tu rządzi. Minister powiedział, że weźmie na siebie poinformowanie sojuszników o niepodejmowaniu akcji. Ja na to: najlepiej zrobić to od razu. I poprosiłem Amerykanów, którzy stali za drzwiami. Gdy weszli, przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Cisza trwała kilkadziesiąt sekund. Przerwał ja minister mówiąc: właśnie podjęliśmy decyzję, działamy.

Tak został pan Janem?

Jan to autentyczna postać, pracownik ambasady, który akurat przebywał w Warszawie. Trzeba było przypilnować, żeby nigdzie się stąd nie ruszał. Ale dzięki temu miałem szybko gotową legendę. Do Bagdadu leciałem z nowym ambasadorem Krzysztofem Płomińskim. Oficjalnie, by pomóc w ewakuacji polskich obywateli. Gdy wsiedliśmy do samolotu na 190 miejsc, na pokładzie byliśmy tylko on, ja i 11 pięknych stewardes. Siedząc i popijając procenty uświadomiłem sobie, w co się pakuję. Cały zespół kryzysowy w warszawskiej centrali mówi, że się nie da. Co ja sobie myślałem? Alkohol szumiał mi w głowie. Przeszło mi przez myśl, że na bogato żegnám się ze światem. Po przylocie szybko zszedłem na ziemię. Dosłownie.

Dlaczego?

Centrala, owszem, dobrze przygotowała dokumenty Amerykanom, ale nie były one zalegalizowane w Iraku. Każdy, kto się tu pojawiał, powinien zgłosić się na policję. Szczególnie ludzie napływający z Kuwejtu. Na każdym posterunku byli funkcjonariusze irackiego kontrwywiadu. Sprawa beznadziejna. Dopadł mnie kryzys. Na dachu ambasady, gdzie pracowały wielkie wentylatory, często dochodziło do wymiany tajnych informacji. To tam wyjawilem ambasadorowi prawdziwy cel mojego przyjazdu. Był zaskoczony i zły. Mimo to poprosiłem o pomoc: żeby przekazał dyrektorom firm budowlanych, by jak najczęściej organizowali teraz imprezy. Podczas jednej z nich zobaczyłem kobietę. Wyróżniała się w tłumie, bo choć miejscowa, była ubrana po europejsku. Zaczęliśmy rozmawiać, przypadliśmy sobie do gustu. Widziałem, jak chłonie informacje ode mnie. Opowiadałem, że kiepski u Polaków nastrój, wojna nieunikniona, ludzie tracą prace, kontrakty i piją coraz ostrzej. Spotkaliśmy się potem jeszcze dwa razy, w tym m.in. na kampusie, gdzie mieszkałem. Przyjechała akurat, kiedy siedziałem z grupą podchmielonych robotników, co tylko uwiarygodniało legendę. Powiedziałem wtedy, że mamy tu kilku ludzi z Kuwejtu, którzy marzą o powrocie do Polski, ale nie mają usankcjonowanego statutu w Bagdadzie. Spytałem, czy może pomóc. Powiedziała: tak.

Kim była, że mogła to zrobić?

Mówili o niej, że jest z ministerstwa spraw zagranicznych, zajmuje się wymianą gospodarczą. Poprosiła, żebym przyniósł ich paszporty.

Tak łatwo poszło?

Zakładałem od początku, że jest ze służb. Na pewno zgłosiła kontakt ze mną. Ja grałem swoją rolę, że ją podrywam, że mi się podoba. Być może chciała mnie zwerbować, albo po prostu zrobić ze mnie źródło informacji o tym, co się dzieje w naszej ambasadzie. Skoro tak, myślałem, to powinna jakoś się wobec mnie uwiarygodnić, wykonać gest. Uznałem, że muszę to wykorzystać. Ona tego samego dnia oddała mi dokumenty zalegalizowane, z danymi wpisanymi do systemu komputerowego. To był krok milowy do powodzenia całej akcji. Teraz musiałem coś zrobić z własnymi papierami.

A co z nimi było nie tak?

Miałem paszport dyplomatyczny. Na nim nie mogłem się po Iraku poruszać. Chyba że wystąpiłbym o to z siedmiodniowym wyprzedzeniem, podając cel podróży. Co innego robotnicy, którzy ze względu na pracę mogli się przemieszczać. Tak powstał pomysł, by podrobić dla mnie kolejne dokumenty. Żona płk Maronde pracująca w ambasadzie znalazła papiery człowieka, który teoretycznie był do mnie podobny. Wysoki, z wąsikami, i na tym kończyło się podobieństwo do tego polskiego inżyniera zatrudnionego w zachodniej firmie. Ale dzięki temu mogłem już wyjść i sprawdzać, jak funkcjonują punkty kontrolne rozstawione gęsto po mieście. Zauważyłem, że zwraca na mnie uwagę ochroniarz Ambasady RP. Kurd, który do reżimu Saddama miał dystans. Ponieważ dużo chodziłem pieszo, często się mijaliśmy i pozdrawialiśmy. Aż zagadnął: co to za ruch w ambasadzie? Jego szefostwo kazało mu to sprawdzić, bo ponoć kiedyś fajrant był o 15., a teraz często do północy coś się dzieje. Zwaliłem to na nowego ambasadora, który chce się wykazać. On tylko rzucił: Take care of yourself. A ja widziałem, że czasu już nie mam.

Panikował pan?

Na pewno znów dopadła mnie beznadzieja. Dowód? Od jednego z szefów budów dowiedziałem się, że na przejściu z Jordanią jest miejsce, gdzie płot się rozsypuje, a ludzie niepostrzeżenie płyną przez granicę. Uznałem, że jak się nie uda, to najwyżej zrobimy sobie wycieczkę. Wysłałem plan do centrali, która szybko odpisała: zabraniamy! Słusznie.

Jak powstał wariant turecki?

Turcja to kraj NATO. Z dobrymi kierowcami dystans nie wydawał się aż tak przerażający do pokonania. Poza tym – nie było innego wyjścia. Kilka razy spotykałem się na ulicach Bagdadu z przedstawicielem amerykańskich oficerów. Stąd wiedziałem, że są w coraz gorszym stanie psychicznym. Ustaliliśmy, że dzień przed akcją przetransportujemy ich do kampusu. Woziliśmy ich turami. Gdy ja prowadziłem, omal nie zaprzepaściłem całej akcji. Tak się koncentrowałem na patrzeniu, czy nie mam ogona, że omal nie włądowałem się w samochód z irackimi żołnierzami, który łamiąc przepisy wyjechał z podporządkowanej ulicy. Wrzeszczeli potwornie. Na szczęście byłem przygotowany. Kilka kartonów papierosów załatwiło sprawę.

Wcześniej Andrzej Maronde pomógł mi znaleźć zaufanych ludzi do pomocy. O szczegółach planowanej akcji dowiedzieli się – jeden w przeddzień, drugi – na kilka godzin przed. Do tego czasu wiedzieli tylko, że trzeba będzie coś przewieźć przez granicę. Informację o planowanej jeździe na dwa samochody do Turcji wysłałem do Warszawy o godz. 1.00 w nocy, wiedząc, że sesja była dwie godziny wcześniej. Napisałem, że zaczynam o godz. 5.00 (25 października), a kolejna korespondencja szyfrowa miała być o 6.00. Bałem się, że z Warszawy przyjdzie kolejna odmowa i chciałem jej uniknąć. Po drodze czekało nas pięć punktów kontrolnych, w tym szósty na granicy. Z trudem uspokoiłem Polaków, o emocjach Amerykanów nie wspominam. I w tym momencie, na chwilę przed startem, zastał nas Maronde, który przyznał do kampusu z ambasady. Trzymał w ręku depezę. ©®

Rozmawiała Paulina Nowosielska

Cały wywiad na dziennik.pl

